

Remigiusz Matyjas

Ostatnie wojenne dni w Warce i okolicach : wspomnienie Władysława Gwardysa

Niepodległość i Pamięć 21/3-4 (47-48), 239-263

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Remigiusz Matyjas

Zaborów

Ostatnie wojenne dni w Warce i okolicach. Wspomnienie Władysława Gwardysa

II wojna światowa stanowiła w dziejach Warki traumę o niespotykanej skali. Wcześniej miasto nad Pilicą doświadczało już wojen, walk powstańczych, pożarów i epidemii, ale nigdy nie poniosło tak wielkich strat ludzkich i materialnych, jak właśnie w latach 1939–1945. Zaczęło się od kampanii wrześniowej, po której pozostały pamiątki w postaci lejów po bombach i grobów polskich żołnierzy. Potem Holokaust pozbawił życia ok. 2 000 mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Łapanki, wywózki do obozów koncentracyjnych i na roboty do Rzeszy, mord dokonany przez Niemców na dwunastu Polakach w nocy z 24 na 25 lipca 1943 roku – życie toczyło się w ciągłym strachu przed tym, co może się za chwilę wydarzyć. Szczególnie ciężkie były ostatnie miesiące wojny. Warka przeistoczyła się w stos ruin, czego uniknęły pozostałe miasta ówczesnego powiatu grójeckiego: Grójec, Mogielnica i Góra Kalwaria.

Zasadniczy wpływ na to miała bliskość frontu, czyli przyczółka warcko-magnuszewskiego. Na początku sierpnia 1944 roku jednostki radzieckie sforsowały Wisłę i na lewym brzegu, w rejonie Magnuszewa, utworzyły przyczółek. Jego dwa skrzydła osłaniały rzeki: od północy Pilica, a od południa Radomka. W tym samym czasie w Warszawie wybuchło powstanie. Niemcy znaleźli się w trudnej sytuacji. Ściągnęli w rejon Warki m.in. 1. Dywizję Pancerno-Spadochronową „Hermann Goering” i przystąpili do kontrofensywy. Najbardziej krwawe boje rozegrały się w dniach 9–16 sierpnia pod Studziankami. W bitwie wzięła udział 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte. Na pomoc przybyły jednostki 3. i 2. Dywizji Piechoty Wojska Polskiego.

W krwawych bojach przyczółek utrzymano, co miało niemałe znaczenie strategiczne. W styczniu 1945 roku teren ten stanowił bazę wyjściową jednego z ugrupowań uderzeniowych Armii Czerwonej i Wojska Polskiego w wielkiej ofensywie, która wyzwoliła resztę terenów Polski. Warkę oswobodzono 16 stycznia.

Walki na przyczółku warecko-magnuszewskim stały się ważnym elementem etosu Ludowego Wojska Polskiego. W Studziankach (od 1969 roku Studzianki Pancerne) utworzono mauzoleum, w Mniszewie – skansen bojowy, w Magnuszewie odsłonięto pomnik Braterstwa Broni¹. Ukazało się dużo artykułów prasowych, opracowań popularnonaukowych czy przewodników, zaspakających zapotrzebowanie całkiem sporego w okresie PRL-u ruchu turystycznego². W świadomości społecznej – za sprawą literatury i filmu – szczególne miejsce zajmowała bitwa pod Studziankami. W latach 1964–1970 ukazała się trytomowa powieść *Czterej pancerni i pies*, na podstawie której nakręcono serial fabularny. Janusz Przymanowski, autor powieści i scenariusza filmowego, zarazem absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, to czołowy piewca pancерnej bitwy i samej wsi Studzianki³. Studzianki pojawiają się także w książkach pisanych przez uczestnika bitwy, Kazimierza Przytockiego⁴.

W scenariuszach świąt i publikacjach Warka występowała przede wszystkim w kontekście „Ludowego Lotnictwa Polskiego”, a to dlatego, że 23 sierpnia 1944 roku nad Warką swój pierwszy lot bojowy wykonały samoloty 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”⁵.

¹ Zob. R. Matyjas, *Spotkania z pomnikami. Warka i okolice*, Warka 2009, s. 95–102 (rozdział: *Krwawiący przyczółek*).

² Z. Stanicki, *Pod Studziankami i Warką*, Warszawa 1953; J. Zielak, *Przyczółek warecko-magnuszewski. Działania 1 Armii Wojska Polskiego oraz ich upamiętnienie*, Warszawa 1979; Cz. T. Zwolski, *Przyczółek Warecko-Magnuszewski*, Radom 1984.

³ Zob. J. Przymanowski, *Bitwa pod Studziankami*, Warszawa 1964; *Bitwa pod Studziankami 1944*, Warszawa 1970; *Studzianki*, Warszawa 1964, 1966, 1971, 1979, 1987.

⁴ K. Przytocki, *W pancernym zwiadzie*, Warszawa 1973; *Wojna, czołgi i dziewczyny*, Warszawa 1978; *Warszawska Pancerna. Z dziejów 1 Warszawskiej Brygady Pancерnej im. Bohaterów Westerplatte 1943-1946*, Warszawa 1981 i in.

⁵ A. Czerkawski, M. Dunin-Wąsowicz, *Pierwszy bojowy lot ludowego lotnictwa nad Warką*, Warszawa 1968.

Po wojnie, na pamiątkę tego lotu, w dniu 23 sierpnia obchodzone Święto Ludowego Lotnictwa Polskiego. Warca stała się niemal miastem lotniczym⁶.

Czcząc rocznice walk, trochę jakby zapomniano, że w drugiej połowie 1944 roku w miejscowościach położonych w pobliżu przyczółka warecko-magnuszewskiego toczyło się przyfrontowe życie. Nieczęsto stawało się ono przedmiotem osobnej refleksji czy opracowań historycznych. I będzie o to coraz trudniej, bo coraz mniej jest świadków epoki. W ogóle po ostatniej transformacji ustrojowej zapanował trochę niekorzystny klimat dla tych spraw. W niełaszkę popadło Wojsko Polskie walczące „u boku” Armii Czerwonej. Stworzono aksjomaty: ofensywa styczniowa to nie tyle koniec okupacji niemieckiej, co początek nowego zniewolenia; w styczniu 1945 roku niemal wszyscy Polacy z pełną świadomością przyjmowali wojska radzieckie i polskie jako okupacyjne. Po 1989 roku w wielu miejscowościach zaprzestano obchodzenia rocznic wyzwolenia. Z kolei organizowanie takowych nierzadko napiętnowane było jako przejaw komunizmu czy wręcz zdrada narodowa. Wspomnianych tendencji doświadczył także przyczółek warecko-magnuszewski, choć przecież wsiąknęło weń tyle żołnierskiej krwi. Jakże często, w szaleństwie ideologicznym, o tej krwi się zapomina...

Jednakże w ostatnich latach przyczółek przeżywa, jeśli tak można rzec, swój renesans. Ma w tym swój udział Związek Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego, który domaga się równoprawnego traktowania całej polskiej tradycji militarnej. W roku 2013 obchody 69. rocznicy bitwy pod Studziankami zorganizowały: Starostwo Powiatowe w Kozienicach, gminy Magnuszew i Głowaczów oraz Mazowiecki Oddział Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego. W uroczystościach w Magnuszewie i Studziankach Pancernych uczestniczyli m.in. samorządowcy z powiatów kozienickiego i grójeckiego. Nie zabrakło wicepremiera i ministra gospodarki, prezesa PSL, Janusza Piechocińskiego, *notabene* pochodzącego ze Studzianek Pancernych⁷.

Tym wydarzeniom pilnie przygląda się Władysław Wincenty Gwardys. Przyszedł na świat 22 stycznia 1933 roku w Warce, jako

⁶ Zob. R. Matyjas, *Spotkania...*, op. cit., s. 103–106 (rozdział: *Podniebni rycerze*).

⁷ Obchody relacjonowała m.in. kozienicka prasa lokalna. S. Matysiak, *W rocznicę bitwy pod Studziankami*, „Oko” 2013, nr 219/28, s. 3.

syn rolników: Władysława (1897–1956) i Józefy z Buczków (1910–1983). Tutaj uczęszczał do szkoły powszechnej i zrobił maturę w legendarnym gimnazjum w Winiarach. Ukończywszy w 1955 roku Wydział Elektryczny na Politechnice Warszawskiej, wrócił do rodzinnego miasta. Wiele lat pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w Fabryce Urządzeń Mechanicznych (tak po upaństwowieniu nazywała się dawna Fabryka Okuć Budowlanych „Bracia Lubert”), kilka lat był zatrudniony w Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, prowadził gospodarstwo rolno-sadownicze. W latach 1980–1990 – jako bezpartyjny – pełnił funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej.

Działalność społeczną rozpoczynał już jako gimnazjalista, w Sodalitji Mariańskiej⁸. Udzielał się w wielu stowarzyszeniach, np. w Klubie Sportowym „Warka”, Klubie Oficerów Rezerwy im. Piotra Wysockiego i Towarzystwie Miłośników Miasta Warki. W latach 1976–1981 oraz 1992–2001 prezesował w miejscowym Oddziale Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Wiktora Krawczyka. Jest prezesem honorowym oddziału oraz Honorowym Członkiem Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego⁹. W roku 2003 otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Warki. Słowem, powszechnie szanowany autorytet.

Jego dom przy ul. Polnej stanowi miejsce spotkań z przyjaciółmi, dyskusji o kraju i „małej ojczyźnie”. W rozmowach dominuje historia. Pan Władysław, z wykształcenia inżynier, pasjonuje się dziejami Warki i okolic. Sam tłumaczy to żartobliwie: „Urodziłem się w 70. rocznicę powstania styczniowego”. Regionalista. Dużo zrobił dla wareckiego obyczaju patriotycznego. O Warce opowiada w artykułach publikowanych na łamach prasy lokalnej czy petetekowskiej, w audycjach radiowych czy telewizyjnych. Jest niezrównanym mówcą i gawędziarzem. Służy pomocą wszystkim, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o historii Warki.

W roku 2010 został wdowcem. Sam jeden w domu, sam na sam ze wspomnieniami. Radosne wycieczki... Ojciec... Tragiczna śmierć

⁸ Zob. W. Gwardys, *Sodalitja Mariańska*, [w:] *W winiarskiej ławie*, pod redakcją J. Majewskiej, Warka [2005], s. 76–83.

⁹ Zob. R. Matyjas, *60 lat Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Warce*, Warka 2007, s. 38–39 i in.

brata... Mama ... Ukochana żona... Migawki z życia. Mogłaby z nich powstać biografia o bezinteresownym i skromnym człowieku, który pokazał, że w każdych czasach można coś zrobić dla dobra publicznego.

Warka jego dzieciństwa? Dwa mosty, dwa kościoły, bożnica, szkoła, remiza oraz Fabryka Okuć Budowlanych „Bracia Lubert”. Ta ostatnia przed samą wojną zatrudniała ok. 500 pracowników. Produkowała: klamki, klucze, skoble, zamki, zasuwy, zatrzaski, zawiasy. Dzięki niej Warka była największym ośrodkiem przemysłowym powiatu grójeckiego. Olbrzymia w tym zasługa rodziny Lubertów, założycieli i właścicieli zakładu. Tak jak Lubertowie ucieleśniali Warkę nowoczesną, tak hrabia Wacław Godziemba Dąbski, dziedzic Winiar, uosabiał trącący jeszcze feudalizmem świat jaśniepanów. Od 1934 roku przez miasto przechodziła kolej szerokotorowa Warszawa–Radom–Kraków. Już wtedy Warka, posiadająca grób Piotra Wysockiego, kopiec Powstańców Styczniowych i kopiec Wolności, stanowiła ważny ośrodek życia patriotycznego. 29 czerwca 1939 roku ojciec Władysława Gwardysa, Władysław (senior) uczestniczył w uroczystości pobrania w parku w Winiarach ziemi, którą miano zawieźć do USA – na pole ostatniej bitwy Kazimierza Pułaskiego pod Savannah. Nie był on przeciętnym rolnikiem. W 1918 roku rozbierał w Warce Niemców, w 1920 roku walczył w wojnie z bolszewikami, w międzywojniu działał w spółdzielczości. I dużo, dużo czytał. Słowem, Warka dzieciństwa to miasteczko z aspiracjami i perspektywami.

Zbliżał się upragniony dzień. Sześciolatek Władysław Gwardys 1 września 1939 roku miał zostać uczniem Publicznej Szkoły Powszechniej im. Piotra Wysockiego. Tego dnia nad Warką pojawiły się samoloty. Spodziewano się, że zaraz, jak to już nieraz w ostatnim czasie bywało, z nieba sfruną propagandowe ulotki Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Tymczasem na miasto spadły niemieckie bomby. 8 września, w piątkowy wieczór, do Warki wkroczyli Niemcy. Panowała cisza.

Wtem – czytamy w artykule pana Władysława – dał się słyszeć warkot silników, który gwałtownie narastał. To od strony Grójca zbliżała się niemiecka, zmotoryzowana kolumna wojskowa. Przy zbiegu ulicy Puławskiej i Warszawskiej

kolumna zatrzymała się i znów cisza. Wtem padł strzał z karabinu. Nikt im nie odpowiedział, tylko gdzieś w mieście głośno i przeciągliwie zawył pies. Kolumna ruszyła¹⁰.

Zaczęła się hitlerowska okupacja, a wraz z nią nauka w szkole powszechnej i na tajnych kompletach, prowadzonych przez Stefana Pośnika w dworku przy ul. Długiej.

29 marca 1941 roku urodził się brat Jan Mirosław, znany głównie pod imieniem Mirek, późniejszy absolwent Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, nauczyciel, naczelnik Miasta i Gminy Warka, rolnik, działacz Ligi Ochrony Przyrody¹¹. Czas okupacji przyspieszał dojrzewanie. 22 stycznia 1944 roku Władysław skończył jedenaście lat. Widział śmierć. Dobrze znał uczucie strachu. Tymczasem zbliżał się koniec wojny, a wraz z nim wielka próba dla wszystkich wareckich rodzin. Nieprzypadkowo właśnie okres od 1 sierpnia 1944 roku do 16 stycznia 1945 roku najsilniej z całej okupacji zakodował się w pamięci Władysława Gwardysa (juniora) i jego rówieśników. We wrześniu 1939 roku miał dopiero sześć lat i niewiele zapamiętał z tamtych dni. Teraz historię przeżywał już całkiem świadomie. Wiedział, że tata, członek Armii Krajowej, zbierał wiadomości wywiadowcze.

Pan Władysław swoją relację o ostatnich miesiącach wojny zatytułował *Wyzwolenie. Tak to pamiętam*. Spisał ją 1 sierpnia 2011 roku. Jest to opowieść o losach wareckiej rodziny w trakcie walk na przyczółku warecko-magnuszewskim i ofensywy styczeniowej. Można ją podzielić na dwie części. Pierwsza dotyczy życia w okupowanej Warce, w bliskości przyczółka warecko-magnuszewskiego. Druga traktuje o wysiedleniu mieszkańców Warki na teren powiatu grójckiego. Rankiem 26 sierpnia, w sobotę, warczanie muszą w godzinę opuścić miasto i pójść na niepewną tułaczkę. Z dala od rodzinnych domów, pozostawionych na pastwę wojny, w zagrodach gospodarzy, z reguły w stodołach i budynkach gospodarczych, trzeba przetrzymać

¹⁰ W. Gwardys, *Czesław Mituła. Żołnierz Polskiego Września*, „Nowe Echo Warki” 2013, nr 6, s. 2.

¹¹ Z. Nocznicki, *Mgr inż. Jan Gwardys (1941–1982)*, „Przyroda Polska” 1983, nr 2, s. 29.

jesień i zimę. Wreszcie ofensywa styczniowa i powrót do zniszczonej, ale wolnej Warki. Groby tych, którzy nie wrócili z wygnania, można spotkać na cmentarzach parafialnych.

Relacja Władysława Gwardysa jest jedną z niewielu, jakie na ten temat posiadamy. Dotychczas naszą wiedzę kształtował zapis sporządzony w *Kronice Warki* przez Wiktora Krawczyka (1899–1957), nauczyciela, regionalistę, społecznika, pierwszego burmistrza po wyzwoleniu¹². Tekst powstał wkrótce po wojnie i ma charakter co nieco oficjalny. Nie ma tu Niemców, są „niemcy” pisani małą literą, są „zbiiry hitlerowskie”. Trudno sobie zresztą wyobrazić, aby wtedy okupantów przedstawiano inaczej. Krawczyk nie cieniuje ludzkich postaw, serwując nam obraz czarno-biały, choć nie do końca. W pamiętny sierpniowy ranek bohaterscy warczanie – bez żadnego płaczu („nikt nie płakał”) – zostawiają cały dorobek życia, wychodząc na tułaczkę. „W ciszy i skupieniu – czytamy w kronice – odbywała się ewakuacja. W oczach ludzi widoczna była zaciętość i nadzieja niemieckiej klęski”. Ale nie wszyscy Polacy byli dzielni czy kryształowi. Kronikarz przyznaje, że wysiedloną Warkę rozkradli nie tylko okupanci.

Bezpośrednio po wyjściu z Warki mieszkańców – pisał – niemcy rozpoczęły rabunek i niszczenie miasta. W tym celu prawdopodobnie zarządzili wysiedlenie, gdyż względy strategiczne zupełnie tego nie wymagały, działania wojenne nawet osłabły i były niewielkie aż do końca. Przez pół roku codziennie zajeżdżały do Warki setki wozów i wywoziły z miasta dobytek ruchomy oraz drzewo z rozbieranych domów, dachy, podłogi, drzwi, okna itp. materiał, z którego niemcy budowali w okolicy bunkry i umocnienia, lub spalali w swych kuchniach i piecach. Znalazły się też rodzime hieny, które wykorzystały niszczenie miasta i prowadziły rabunek na swoją rękę [podkreślenie – R.M.].

Kronikarz przyznaje zresztą, że na obiektywne pisanie o wojnie jest jeszcze za wcześnie, że potrzeba na to perspektywy dziejowej. Jego relacja już od dawna funkcjonuje w historiografii, gdyż na interesujący nas

¹² W. Krawczyk, *Kronika Warki*, mps, s. 65–66. Zbiory Muzeum Kazimierza Pułaskiego. Pierwotnie oryginał znajdował się w archiwum miejscowego Oddziału PTTK, którego jednym ze współzałożycieli był właśnie W. Krawczyk.

fragment powołała się Jadwiga Borkowska, pisząc rozdział do monografii Warki¹³.

Pozostałe przyczynki są rozproszone. Uwagę zwraca artykuł Julity Twardowskiej, opowiadający o dziejach Warki widzianych z perspektywy jej mieszkańca, Władysława Kozłowskiego (rocznik 1924), wieloletniego pracownika Fabryki Urządzeń Mechanicznych¹⁴. Zauważmy, że sam Władysław Kozłowski to starszy kolega Władysława Gwardyśa, uczestnik spotkań na ul. Polnej. W jego relacji, zanotowanej plastycznie przez J. Twardowską, pojawia się m.in. motyw wysiedlenia. 26 sierpnia Kozłowscy wyruszyli z Warki na północny zachód drogą na Grójec, zatrzymując się najpierw w Murowance, a następnie w Miedzechowie. Piszący te słowa zwrócił uwagę na aspekt warunków życia na wysiedleniu, publikując i komentując wiersz Witolda Grzelewskiego, pochodzący z wystawianej zaraz po wojnie tzw. rewii wareckiej. Miejscowy bard, z talentem staropolskiego sowizdrzała, posługując się mazurzeniem, obnaża pazerność gospodarzy żerujących na biedzie wysiedleńców¹⁵. Z kolei motyw ofensywy styczniowej i wyzwolenia pojawia się we wspomnieniach Alicji Zielińskiej¹⁶.

Te i inne przyczynki uzupełniają relację Władysława Gwardyśa, stanowiąc zarazem do niej komentarz. Zaletą prezentowanych w niniejszym szkicu wspomnień jest to, że autor, choć swoją relację spisuje po wielu latach od wydarzeń, nie korzysta z wiedzy pozazródłowej i nie sili się na dydaktyzm. Stara się pisać z perspektywy dojrzewającego w czasie okupacji chłopca. Dopiero w ostatniej partii tekstu ze świadka dziejów wyłania się obywatel zatroskany o patriotyczne wychowanie społeczeństwa. W sumie otrzymujemy złożony obraz wojny i okupacji, mieszkankę ludzkich postaw i zachowań. Czytając relację, wchodzimy w psychikę ówczesnego

¹³ J. Borkowska, *Warka i okolice w latach 1944–1950* [w:] *Dzieje Warki 1321–1971. Studia i materiały*, Warszawa 1975, s. 130–149.

¹⁴ J. Twardowska, *To była daleka droga*, „Magazyn. Słowo Ludu” 1979, nr 1043, s. 1, 4.

¹⁵ R. Matyjas, *Klub Sportowy w Warce. Lustró dziejów*, Warka 2002, s. 150–153.

¹⁶ A. Zielińska, *Pamiętnik Alicji Zielińskiej „Hanki” cz. II, cz. III*, „Echo Warki” 2003, nr 65, s. 8–9 oraz nr 66, s. 4–5.

społeczeństwa. Jest to widoczne m.in. przy opisie ucieczki syna i matki przed niemieckim pociskiem, który na szczęście okazał się niewypałem.

Władysław jest chłopakiem czytany, złąknionym dalekich podróży. Tułaczka po powiecie grójeckim poszerza jego horyzonty. Można by ją nazwać wycieczką krajoznawczą, gdyby nie okoliczności, w jakich się odbywa. Mamy do czynienia z takim samym *exodusem* ludności jak w przypadku Warszawy, choć oczywiście na mniejszą skalę. Tak się zresztą składa, że obydwie *exodusy* nakładają się na siebie, jeśli idzie o czas i miejsce. Dla warszawian i warczan miejscem schronienia są wioski powiatu grójeckiego.

Nasz bohater właśnie na wysiedleniu przeżywa ofensywę styczniową i wkroczenie Armii Czerwonej na teren powiatu grójeckiego. Na jedenastolatku kolosalne wrażenie robi wielka machina wojenna. Niepewność i tragizm przeplatają się z radością i komizmem. Najtrudniejsze są spotkania z nietrzeźwymi maruderami wyzwolenczej armii. Nie sposób też zapomnieć wizyty radzieckiego żołnierza, na co dzień mieszkającego w rejonie Katynia. To on, o paradoksie, wskazuje Gwardysom prawdziwych autorów zbrodni katyńskiej.

W końcu wszyscy wracają do swoich miast i domów, a w zasadzie do tego, co z nich pozostało. Warszawiacy do stolicy, warczanie do miasta nad Pilicą. Wszędzie gruzy i nieszczęsne miny. Władysław Gwardys i jego przyjaciele specjalną czcią darzą saperów, którzy zginęli podczas rozminowywania Warki i okolic. Niektórzy z tych młodych mężczyzn spoczywają na miejscowym cmentarzu parafialnym. Na przełomie 2013/2014 roku dyskutanci na ul. Polnej mocno się wzburzyli. Powodem okazał się czyjś pomysł, żeby rozebrać groby saperów, a kości wrzucić do jednej mogiły. Byłoby mniej sprzątanina, a zarazem miejsce na nowe mogiły. Pan Władysław natychmiast zaprotestował. „Czy względy ekonomiczne – pytał – można porównać do ofiary życia złożonej na ołtarzu Ojczyzny?”¹⁷. Uważa bowiem, że barbarzyństwem jest brak szacunku dla krwi przelanej za ojczyznę. Nie dzieli żołnierskiej krwi na lepszą i gorszą. Drażni go wprzęganie historii do bieżących rozgrywek politycznych.

¹⁷ W. Gwardys, *Szanujmy ich pamięć!*, „Nowe Echo Warki” 2014, nr 1, s. 10.

Władysław Wincenty Gwardys, „Wyzwolenie. Tak to pamiętam”

Był upalny sierpień 1944 roku. Już od kilku tygodni coś wisiało w powietrzu. Nocą nad wareckim niebem dudniły niemieckie bombowce, lecące w kierunku wschodnim. Wkrótce po wykonaniu zadania wracały do swoich baz, jakby szczęśliwsze, a z pewnością lżejsze, bo warkot silników był łagodniejszy i szybciej leciały. Przez moje miasto przechodziły coraz to nowe oddziały wojsk niemieckich. Już od pierwszych dni miesiąca dochodziły dalekie odgłosy działań wojennych. Z każdym dniem wojna zbliżała się do mojego miasta.

Już pod koniec pierwszej dekady sierpnia powietrze wypełniał huk strzałów, wybuchy pocisków i metaliczny zgrzyt, jakby ktoś uderzał w metal potężnym młotem. Miasto zaczęła pokrywać sieć okopów i rowów łącznikowych, do kopania których zmuszano mężczyzn. Do tych prac dowożono ludzi z wielu miejscowości, również z rejonu Żyrardowa i Skierniewic. Przyjeżdżali pojazdami konnymi, które wielokrotnie porzucali. Bezpańskie konie żywiły się w ogrodach, nieraz ginęły od zabłąkanych kul i odłamków artyleryjskich. Na miasto padało coraz więcej pocisków i bomb. Płonęły różne budynki. Niemcy, aby odsłonić widok na rzekę i utrudnić Rosjanom sforsowanie Pilicy, spalili dzielnicę Ostrówek, zbudowaną tuż przed wojną przez pracowników Fabryki „Bracia Lubert”. Bezdomna ludność znalazła schronienie w podziemiach kościoła pofranciszkańskiego. Mieszkańcy Warki znaleźli się na drugiej linii frontu. Odnotowywano coraz większe straty w ludziach¹⁸. Kto mógł, chronił się do piwnic i wykopanych schronów.

Czas wojny był okresem ludzkiej solidarności. Nasza rodzina zamieszkała w betonowej piwnicy, zbudowanej w podwórku dla potrzeb gospodarczych. Do naszej małej piwnicy wprowadziła się także liczna

¹⁸ W. Krawczyk podaje, że na przełomie 1944/1945 roku pod Warką zginęli: Jan Ambroź, Józef Bekas, Stefan Bekas, Mieczysław Bogucki, Jan Dąbrowski, Danielewicz (policjant posterunku Policji Państwowej), Józef Dobrzyński, Franciszek Gajewski, Stanisław Karczewski, Konrad Kołodziejewski (komendant Posterunku Policji Państwowej), Franciszek Kosiński, Stanisław Kulik, Michał Malinowski, Jan Nadolski, Naparty, Małgorzata Pucek, Wacław Sikorowski, Stefan Sobolewski, Domicela Szelağ, Genowefa Szelağ, Szymański, Feliks Szymkowiak, Antoni Tomaszewski, Marian Traczyk, Józef Wrona, Henryk Zaremba. W. Krawczyk, *Kronika Warki*, op. cit., s. 56–57.

rodzina pana Edwarda Kaczmarzkiego, pracownika Fabryki Okuć Budowlanych. Moja rodzina też doświadczała dobroci ludzi. W połowie miesiąca pojawił się u nas brat pana Edwarda, Józef, z tłumaczeniem, że w Zduńskiej Woli opuścił nasz pojazd konny i wrócił do domu pieszo. Wyjaśniam, że w końcu czerwca Niemcy wywieźli wareckich folksdojczów na tereny przyłączone do Rzeszy, używając do tego podwód konnych¹⁹. Pan Józef podjął się powożenia naszym pojazdem, a teraz wrócił, skruszony, że stracił konie i wóz. Ojciec zapewniał go, że nic się nie stało i jest szczęśliwy, że on powrócił do swojej rodziny cały i zdrowy.

Któregoś dnia spaliło się gospodarstwo naszych kuzynów, Andrzeja i Marii Kwiatkowskich. Już po południu, gdy trochę ucichły wybuchy, mama zabrała mnie ze sobą i poszliśmy, ogrodami, odwiedzić ich. Na szczęście wszyscy żyli i byli zdrowi. Po krótkiej rozmowie wracaliśmy do domu, gdy nagle rozpoczęła się kanonada. W rejonie frontu mieszkańcy szybko zdobywają wiedzę wojskową. Pocisk artyleryjski podczas lotu wydaje głuchy warkot. Biegliśmy z mamą jak najszybciej w kierunku naszej upragnionej piwnicy. W pewnym momencie usłyszeliśmy złowróżbny odgłos zbliżającego się pocisku. Od razu padliśmy. Pocisk głucho uderzył o ziemię, a grudki piachu spadły na moje ciało. Uniosłem się niepewnie i widzę kilka metrów dalej niedużą wyrwę w ziemi, a w środku leżący pocisk niewypał. Prawie niemożliwy przypadek. Tego dnia w piwnicy głośne modlitwy błagalne przeplatały się z dziękczynnymi.

Rodzice posiadali gospodarstwo rolne. Wprawdzie tuczniaki zostały zabrane przez żołnierzy niemieckich, lecz pozostały jeszcze zwierzęta, które należało żywić. Na szczęście w stodole składowaliśmy dużo koniczyny, czyli mieliśmy czym karmić krowy. Obowiązek obrządku spoczywał na ojcu, w czym wspomagał go pan Edward. Największym problemem było pojenie. Wodę ciągnęło się z głębokiej studni o trzydziestu trzech betonowych kręgach. Wyciągnięcie wiadra wody wymagało czasu, a należało wyciągnąć je kilkakrotnie. Nierzadko

¹⁹ Ten kierunek ewakuacji wareckich folksdojczów potwierdza W. Krawczyk. Jego zdaniem, zostali przetransportowani do Łodzi. „Obrabowano ich oficjalnie z dobytku, który ze sobą przywieźli – czytamy – mężczyzn pobrano do wojska lub fabryk, a rodziny do obozów. Opornych zbito w oczach Polaków, którzy ich musieli zawieść podwodami”. *Ibidem*, s. 63.

przy tej czynności rozpoczynała się strzelanina i zawsze występowało poważne zagrożenie. Mężczyźni zdecydowali, że należy chronić jedyną kłacz. W stodole w koniczynie wyrwano wielką komorę, do której wprowadzono naszą gniadą. Miała co jeść, należało tylko donosić jej wodę. Po kilku dniach stwierdziliśmy, że ściany stodoły wokół naszej kłaczy są pełne dziur po odłamkach artyleryjskich. Nasza kłacz jednak żyła. Ochroniła ją gruba warstwa koniczyny.

Pewnego poranka ojciec stwierdził, że w pobliżu stodoły leży nieboszczyk. Cywil, nieznan nam, nie posiadający przy sobie żadnych dokumentów. Prawdopodobnie przywieziono go do pracy przy okopach²⁰. Tuż przy naszej działce, na placu szkoły powszechnej, stał barak używany przez wojsko do celów magazynowych, a teraz w sierpniu nocowali tu ludzie, po prawdzie niewolnicy zmuszani do prac saperskich. Być może temu człowiekowi udało się zbiec z noclegu. Ojciec poprosił sąsiada, pana Edwarda Kłosiewicza, który znał się na obróbce drewna, aby pomógł zrobić trumnę. Zbili ciężką skrzynię i do niej włożyli ciało nieszczęśnika. Wobec silnego ostrzału, poczekali do godzin przedwieczornych. Gdy tylko trochę ucichło, złożyli trumnę na wózek dwukołowy i chyłkiem, pospiesznie, przewieźli ją na cmentarz. Szybko wykopali jakiś dół... I tak odbył się pogrzeb nieznanego Polaka.

Nasz drewniany dom ciągle trwał. Ojciec zawsze do niego zaglądał, by sprawdzić, czy nic nie zginęło. Drzwi nie były zamknięte, bo mieliśmy nieproszonego gościa. Któregoś dnia przyszedł żołnierz w niemieckim uniformie, dźwigając ciężki plecak. Nie odpowiadał na pytania, tylko coś mruknął. Zapoznawszy się z rozkładem mieszkania, wszedł po schodach na strych i tam pozostał. W pobliżu naszej posesji, na niewielkim wzgórku, stał wiatrak będący własnością pana Adama Misterskiego. Pewnego poranka zajechały niemieckie czołgi. Załogi natychmiast przystąpiły do ścinania gałęzi olbrzymiego kasztanowca i drzew owocowych, celem zamaskowania swoich pojazdów. Nie minęły dwie godziny, a na niebie ukazał się radziecki samolot. Zatoczył

²⁰ Świadkiem podobnego wydarzenia w sierpniu 1944 roku był W. Krawczyk. Na ul. Warszawskiej przed domem nr 3 widział zabicie przez żandarmów młodego Polaka z Góry Kalwarii za próbę ucieczki z grupy robotników prowadzonych do sypania okopów. „Wypadków podobnych było bardzo dużo i wiele z nich uszło uwagi mieszkańców miasta”. Ibidem, s. 53.

koło i odleciał. Wkrótce rozpoczął się atak artyleryjski. Radzieccy puszkarze szybko wstrzelili się w ukryte czołgi. Sprawka naszego lokatora?

Z każdym dniem rosło zagrożenie, wzrastała częstotliwość ostrzałów artyleryjskich. Najgroźniejsze były ataki katuszy nazywanych przez nas organkami Stalina. Ziemia drżała. W naszej piwnicy musieliśmy trzymać drzwi, aby nie zostały wyrwane z haka. Raz taki atak skończył się trafieniem w budynki gospodarcze majątku Winiary. Natychmiast wybuchł pożar i strawił wspomniane zabudowania.

Życie cywilów było usłane ciągłymi łapankami. Mężczyzn stawiano do kopania okopów, rowów łącznikowych i stanowisk artyleryjskich. Najtrudniej pracowało się na wysokiej skarpie nadpilickiej. Każdy ruch ludzi w miejscach odsłoniętych witała salwa karabinów maszynowych z pierwszej linii frontu od strony Zakrzewa²¹.

Do naszej piwnicy też często zaglądali żołnierze poszukujący siły roboczej. Zatem do piwnicy wstawiliśmy szafę ubraniową, trochę odsuwając ją od ściany, aby mogło się tam schować dwóch mężczyzn. Któregoś dnia wizytowali nas dwaj żołnierze. Marian, dorastający syn pana Edwarda, zdążył skryć się za meblem. Niemcy obeszlili pomieszczenie, zajrzeli nawet do szafy. Uff... Nikogo nie znaleźli. Nasza radość okazała się jednak przedwczesna. Owszem, jeden Niemiec odszedł, lecz drugi, zaszwargotawszy coś do kolegi, usiadł na stołku. I czekał. My, dzieci, zagadywaliśmy do niego. On jednak nie odzywał się. Po paru minutach wyczerpała się nasza koncepcja – nic już nie mówiliśmy. Zaległa cisza. Marianowi zrobiło się duszno. Gdy grzecznie zapytał: „Poszedł już?“, rozległo się głośne: „Kom, kom?”. I nasz Manius poszedł bronić Wielkiej Rzeszy. A kryjówka była już spalona.

Mojego taty nie zabierali do pracy, ponieważ nosił opaskę Czerwonego Krzyża i był wyposażony w zaświadczenie wydane przez RGO²²,

²¹ Zakrzew – wieś położona na południowym brzegu Pilicy, przy drodze Warka-Mniszew. W czasie walk na przyczółku warecko-magnuszewskim stanowiła silny punkt niemieckiego oporu. Zdobyta 15 sierpnia 1944 roku przez jednostki radzieckie i żołnierzy polskich. Stąd prowadzono ostrzał artyleryjski w kierunku zachodnim, na pozycje niemieckie w rejonie Warki. O tamtych dniach przypomina pomnik wystawiony w Zakrzewie w 1977 roku.

²² Rada Główna Opiekuńcza – polska organizacja charytatywna działająca podczas II wojny światowej, kontynuująca tradycje swojej poprzedniczki z okresu I wojny

potwierdzone po niemiecku przez ich władze. Dokument ten przyniósł mu pan Jerzy Lubert, dyrektor Fabryki²³. Armia Krajowa umiała zadbać o swoich ludzi. Ale pewnego dnia przyszło dwóch żandarmów (jeden z nich mówił częściowo po polsku)²⁴. Gdy ojciec pokazał swoje zaświadczenie, oni wyrazili zadowolenie i zdecydowali, że ojciec pójdzie z nimi, bo jest bardzo potrzebny bliżej frontu. W takich sytuacjach bardzo przydatna jest zimna krew. Nasza posesja graniczyła z targowiskiem miejskim, zajęтым pod składowisko amunicji i paliw. Ojciec wyjaśnił, że nie może odchodzić od swojego domu, gdyż jest potrzebny do rozładunku transportów wojskowych i wkrótce będzie dostawa. Wyjaśnienie było wystarczające. Więcej już po ojca nie przychodzili.

Tymczasem na niebie królowały samoloty niemieckie, a radzieckie ukazywały się bardzo rzadko. Czasami dochodziło do walk powietrznych. Żaden samolot nie spadł po naszej stronie Pilicy.

Nadszedł dzień 25 sierpnia. O świcie Sowietci rozpoczęli silne przygotowanie artyleryjskie, które zakończyło się w godzinach przedpołudniowych. Pierwsze pociski padały w pobliżu rzeki i przesuwaly się co kilkadziesiąt metrów, szły w głąb miasta, aż za jego granice. Piętnaście lat później w Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu dowiedziałem

światowej. Uznana przez władze Generalnego Gubernatorstwa. W Warce RGO prowadziła kuchnię publiczną, rozdzielala zapomogi w gotówce, odzieży i obuwiu. Zimą wydawano m.in. buty na drewnianych podszewkach. W pierwszej kolejności niesiono pomoc sierotom, rodzinom polskich żołnierzy oraz starcom, dla których zorganizowano przytułek. Środki czerpano ze składek miejscowego społeczeństwa, z centrali oraz z okolicznych majątków ziemskich, które dostarczały produktów żywnościowych. W sierpniu 1944 roku prowadzono szpitalik dla rannych mieszkańców miasta. Dożywiano ludzi chroniących się w podziemiach kościoła pofranciszkańskiego i w lodowniach w Winiarach, a także mieszkańców spalonej dzielnicy Ostrówek. W. Krawczyk, *Kronika Warki*, op. cit., s. 60–61.

²³ Jerzy Lubert (1910–1968), absolwent Politechniki Gdańskiej, naczelny dyrektor Fabryki Okuć Budowlanych. Podczas okupacji współdziałał z Armią Krajową, na terenie Warki był przewodniczącym Polskiego Czerwonego Krzyża i Rady Głównej Opiekuńczej.

²⁴ Podczas okupacji posterunek żandarmerii ulokowano w domu doktora Józefa Kawieckiego (zginął w Oświęcimiu) przy ul. Franciszkańskiej. Posterunek liczył okresowo od ośmiu do 25 funkcjonariuszy. Część swoich ofiar żandarmi zakopywali w pobliskim ogrodzie. W. Krawczyk, *Kronika Warki*, op. cit., s. 53.

się, że ten rodzaj ognia nazywa się wałem artyleryjskim. Po tym ataku wydawało nam się, że za chwilę wejdą wojska radzieckie. Nasi sąsiedzi w wojskowych mundurach nie dawali znaku życia, sądziliśmy, że uciekli. Ale nic takiego się nie stało. Nazajutrz okupanci rozpoczęli gwałtowną akcję wysiedlenia ludności cywilnej. W ciągu godziny mieliśmy opuścić swoje siedlisko²⁵. Z klatek wypuściliśmy duże stado króliczków. Stworzonka rozpierchły się po ogrodach. Tata, wyprawdziwszy z kryjówki klacz, zaprzął ją do wozu, zawiesił na wozie latarkę, w deski włożył dwa małe prosiaki, przywiązał do wozu pięć krów. Mama rozpoczęła pakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, proszona, aby zabrała jak najmniej, bo jeszcze musimy pojechać do stryja, tj. Lutka Gwardysa, któremu właśnie zginął koń podczas podwoły. Na naszym wozie znalazła się pierzyna, poduszka, trochę żywności i ciepłej odzieży. Mama jeszcze sprawdziła, czy wszyscy mamy na szyi uszyte uprzednio z materiału woreczki, a w nich karteczki z zapisanymi personaliami i jakieś pieniądze. Swoje węzélki włożyli też sąsiedzi Kaczmarscy. Na wozie został posadzony mój trzyletni brat Mirek²⁶, a za wozem ganiał nasz pies.

Tak uformowany tabor wjechał na podwórko mojego stryja, a za nami grupa żołnierzy niemieckich. Od razu dokonali błyskawicznej rewizji. Nic nie odpowiadało ich potrzebom, więc zabrali prosiaki i cztery krowy, zostawiając nam tylko jedną. To samo zrobili z dobytkiem stryja. Na szczęście jedna świnka uciekła do ogrodu. Pobiegłem za nią, żeby nie zginęła. Gdy tylko żołnierze się oddalili, złapaliśmy ją i po włożeniu

²⁵ Podobnie okoliczności wysiedlenia przedstawia *Kronika Warki*:

„26 sierpnia o godz. 8 Niemcy nakazali ewakuację ludności Warki. Do godz. 10 miasto musiało być opuszczone. Ponieważ przedtem zabrano prawie wszystkie konie i samochody, mieszkańcy cały swój dobytek zostawili w mieście, i na tułaczkę wyszli przeważnie z ręcznym tylko bagażem. Wielu mężczyzn Niemcy przy tej sposobności wydzielili i wysłali na roboty do Rzeszy. Wszystkimi drogami na zachód szli ludzie. Kobiety prowadziły za ręce dzieci lub niosły niemowlęta, mężczyźni i starcy oraz resztki młodzieży uginali się pod ciężarem dobytku. Niektórzy popychali ręczne wózki, prowadzili rowery lub wspólnymi siłami ciągnęli duży wóz”.

²⁶ Podczas ewakuacji specjalny problem stanowiły małe dzieci. Rodzina Kozłowskich nie mogła iść dalej z dwumiesięcznym niemowlakiem. „Dzieciak – czytamy w artykule J. Twardowskiej – piąstki konwulsyjnie zaciskał, jak działa waliły i płakał, płakał bez przerwy. Nie przetrzymał zresztą tej wędrówki. Zmarł na zapalenie opon mózgowych. Jeszcze na wysiedleniu”.

tobołków stryjenki na wóz, udaliśmy się na wędrowkę. Nie wiedzieliśmy, że wrócimy dopiero za kilka miesięcy, a po naszym obejściu zostanie tylko przewrócony komin domu i zniszczone ściany murowanej obory.

Nasz tabor, otoczony wieloma osobami, toczył się wolno w kierunku Wichradza²⁷, gdzie mama miała swoją ciocię. Ale u rodziny było już pełno innych uciekinierów. Zatem pojechaliśmy kilka domów dalej i zatrzymaliśmy się w gospodarstwie pana Edwarda Przybylskiego. Ale tu też zastaliśmy podobną sytuację. Jeden pokój w domu mieszkalnym zajęło wojsko, drugi siostra gospodarza, tj. Łodzianka Regulska z liczną rodziną. Uciekinierzy z Warki dostali do dyspozycji klepisko w stodole. Wśród nich były siostry mojego taty: Maria Dobrzyńska z rodziną oraz Marta Korczakowa z mężem i dwójką dorastających dzieci. Korczakowie mieszkali w Warszawie, ale na wakacje przyjechali do Warki, stąd nasze spotkanie w Wichradzu.

W Wichradzu pomagałem ojcu w utrzymaniu naszych zwierząt. Początkowo krowę pasłem na przydrożkach. Potem najmłodszy brat gospodarza, trochę ode mnie starszy, Zdzicho, pozwolił paść moją krowę z jego stadem na rzysku po zebranych zbożach. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się ze sobą podczas tej pasterskiej czynności. Już pierwszego dnia zrobiłem rozpoznanie, że naprzeciwko naszego miejsca postoju jest duży ogród, a w nim rosną piękne buraki. Zaraz pierwszego wieczoru usunąłem z ogrodzenia dwie sztachety i przynosiłem kilka buraków dla naszych zwierząt. Wkrótce dowiedziałem się, że jest to ogród państwa Jagielińskich²⁸. Najtrudniejszą sytuację miały kobiety, bo trudno miały dostać się do zawsze zajętej kuchni. Żołnierze niemieccy wydawali się być dość sympatyczni. Wieczorami śpiewali, a jeden nawet grał na instrumencie, rywalizowali z polskimi rówieśnikami w ćwiczeniach sportowych. Jeden z Niemców lubił popisywać się zapasami. Był radosny, gdy wygrywał i wściekły, gdy mój cioteczny brat, Włodek z Warszawy, kładł go na trawie. Którejś nocy nasi „przyjaciele w mundurach”

²⁷ Wichradz – wieś położona na zachód od Warki, obecnie w gminie Warka. W czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej przynależała do niegrodowego starostwa wareckiego.

²⁸ Właścicielem wspomnianego ogrodu był Stanisław Jagieliński, ojciec Romana, urodzonego 2 stycznia 1947 roku w Wichradzu, absolwenta Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, działacza PSL, posła na Sejm, wicepremiera i ministra rolnictwa i gospodarki żywnościowej (7 marca 1995–10 kwietnia 1997).

wraz z posiłkami przystąpili do łapanek mężczyzn. Spenetrowali całą wieś, nie ominęli również swojej kwatery. Wzięli także od nas kilka osób i popędzili je w kierunku Grójca. Mój ojciec z bratem zorientowali się, że na wsi dzieje się coś niedobrego. Wdrapali się na strych zamkniętego zawsze chlewu i zakopawszy się w plewach, przesiadeli tak cały dzień i dwie noce.

Należało opuścić Wichradz. Moja mama wyszykowała tabor i ruszyliśmy w kierunku Borowej Karczmy²⁹, bo tam moja stryjenka miała swojego kuzyna. Po trasie spotkaliśmy obu braci: Władysława i Lutka Gwardysów, którzy z Wichradza uciekli polami. Pod wieczór dotarliśmy do państwa Kwiatkowskich. Tu było dosyć luźno, mieszkaliśmy w domu, ale ojciec zdecydował, że tu nie możemy zostać, bo zbyt duża odległość dzieli nas od Warki i nie będzie można nic zabrać z domu. Stryj Lutek został w Borowej Karczynie, u rodziny. A my pojechaliśmy w kierunku Grójca. Zatrzymaliśmy się w Skurowie³⁰ u rodziny Strzelczyków, gdyż gospodyni, Zofia, była cioteczną siostrą mamy. Mimo że nie widziały się od lat, zostaliśmy przyjęci bardzo serdecznie. Trafiliśmy akurat na moment, gdy wuj Stefan zabił dużą jałowkę. Po poświęceniu i posoleniu włożył ją do dębowej beczki, którą zakopał pod szopą. Ten zapas miał służyć przez długi czas kilku rodzinom.

Dom mieszkalny w Skurowie stał w pobliżu skrzyżowania dróg do Grójca i Jasieńca, około stu metrów od jezdni. Zbudowany z bali drewnianych, ogacony słomą i suchymi liśćmi, posiadał cztery izby i długą sień. Jedna izba nie była wykończona i służyła jako spiżarnia. Rodzinę wujostwa Stefana i Zofii Strzelczyków tworzyli: córka, trzech synów oraz ojciec wuja Stefana, który dla wszystkich był „Dziadkiem”. Ci wspaniali ludzie przyjęli wszystkich, którzy zgłaszali się do nich. Z chwilą naszego przyjazdu, w jednym pokoju, po stronie spiżarni, mieszkała rodzina Chodeckich z Warki z ich kuzynką z Warszawy oraz rodzina Szczupaków, też z Warki. W drugim pokoju, ładnie

²⁹ Borowa Karczma – wieś już nieistniejąca i raczej nie występująca w urzędowych spisach nazw miejscowości. Została wchłonięta przez wieś Józefów, leżącą przy trasie Grójec-Białobrzegi nad Pilicą, w gminie Goszczyn. Tradycja przetrwała w nazwie przystanku PKS: Józefów „Borowa Karczma”. W tym miejscu, w pobliżu boru, stała kiedyś karczma.

³⁰ Skurów – wieś położona przy szosie Warszawa-Radom, na południe od Grójca, obecnie w gminie Grójec.

urządzonym, mieszkała już matka gospodyni, ciocia mojej mamy, Lucyna Figlewiczowa z Wilczkowic³¹ z synami: Janem i Józefem oraz synową Janiną. Uciekli spod Magnuszewa przed Rosjanami. W kilka dni później dotarła ciocia Helena Figlewiczowa z mężem Marianem, bratem cioci Zosi i dwoma nieletnimi synami: Władziem i Jankiem. Hitlerowcy wypędzili ich w kolumnie z Warszawy, gdzie dotychczas mieszkali na ulicy Puławskiej. Wuj Marian nie mógł nic wziąć z domu, ponieważ żołnierz zmusił go do niesienia jego walizy. Przywędrowali do Skurowa tylko w tym, co mieli na sobie, przynosząc ze sobą emaliowany dzban, wypełniony kilkoma litrami smalcu. Młodszy syn liczył wtedy tylko trzy lata, więc przez część drogi musiał być niesiony.

Wuj Stefan Strzelczyk miał bardzo duże gospodarstwo. Pracy nie brakowało. Kończono żniwa, zwożono snopy, ustawiano stertę, orano ziemię pod siew zboża, kopano i kopcowano ziemniaki, wyrwano i obcinano buraki, zwożąc je do kopca, blisko domu. Szczególnie dużo było buraków ćwikłowych, które zimą, pieczone w popielniku, stanowiły istny przysmak, nie tylko dzieci. Osoby wysiedlone pomagały w gospodarstwie, choć nie wszyscy się do tego nadawali. Za to ciocia Zosia cały dzień stała przy kuchni, aby nakarmić tych pracowników. Tylko rodzina Chodeckich i mieszkające wraz z nimi osoby gotowały we własnym zakresie. Często „Dziadek” wspomagał ich różnymi produktami. Nasza rodzina żywiła się sama, ale mama też używała kuchni. Dziś nie mogę sobie wyobrazić, jak w trzech izbach mogły mieszkać trzydzieści cztery osoby. Myślę, że nasi gospodarze to święci ludzie.

Z nami mieszkała Marysia Dyga – sierota przyjęta przez moją mamę, a pochodząca z rodzinnej wsi mamy o nazwie Kurki³². Marysia miała dużą wadę wzroku. Pracowała w naszym gospodarstwie. Ojciec cenił ją za pracowitość i uczciwość, sumiennie i terminowo płacił jej za pracę. Teraz wraz z ojcem jeździła w rejon Warki. Podczas pierwszego wypadu, po drodze w Laskach³³, spotkali kuzyna. Oświadczył on ojcu, że nie ma po co jechać do Warki, bo tam u nas nie ma nic do wzięcia, on sam zdołał zabrać z zagrody swojego stryja jedynie

³¹ Wilczkowice – wieś koło Magnuszewa, na terenie przyczółka warecko-magnuszewskiego.

³² Kurki – wieś koło Magnuszewa, na terenie przyczółka warecko-magnuszewskiego.

³³ Laski – wieś położona na północny zachód od Warki, obecnie w gminie Warka.

trochę belek. Jeszcze gdy byliśmy w Wichradzu, spotkałem rolnika, gdy furmanką transportował nasze meble. Już po powrocie z wysiedlenia tata znalazł u tego człowieka swoją wialnię do czyszczenia zboża i odebrał ją przy pomocy milicji. Tak okoliczni chłopci pomagali rozebrać Warkę.

Ojciec jeździł na swoje pole, gdzie wraz z Marysią młócili kijami zboże, które stało w kupkach. Zorał kawałek ziemi i obsiał żytem. A potem motykami kopali ziemniaki. Nasze pole było daleko za miastem i kule tak często nie padały. Wprawdzie stały tam również baterie artylerii, lecz żołnierze niemieccy nie przeszkadzali im w pracy. Wykonanie tych robót polowych było możliwe dzięki pomocy przyjaciela, Konstantego Kuciaka, który miał swoje zabudowania w Kolonii Gośniewskiej³⁴, w pobliżu naszego pola. Tu ojciec znalazł m.in. możliwość czasowego przechowywania swoich plonów, o strawie i noclegu nie wspominając. Tata tylko co kilka dni przyjeżdżał do Skurowa, by zmienić bieliznę i zabrać nową porcję żywności. Dzięki jego odwadze i pracy byliśmy niezależni oraz mało uciążliwi dla naszego gospodarza.

A nasz wuj Stefan doznał wypadku przy pracy. Mając dużo zwierząt, często miał zboże na śrutę. Pewnego dnia, zapewne zamyślony, popychał zboże metalowym prętem, zakończonym kółkiem. To kółko zakładał na kciuk prawej ręki. W pewnym momencie popychacz został chwycony przez tarcze mielące i wciągnięty w maszynę, a wuj został bez kciuka. Chirurg w Grójcu dokonał operacji, ale wuj na długo został wyłączony z pracy. W tym czasie administracja niemiecka rozkazała, że każde gospodarstwo musi skierować dorosłego mężczyznę do robót ziemnych. Padło na wuja Mariana. Ten biedak każdego dnia, bez względu na warunki atmosferyczne, pod Grójcem kopał rowy przeciwczołgowe. Można by dużo opowiadać o wydarzeniach tamtych dni. Przejdźmy jednak do wypadków z połowy stycznia 1945 roku.

Była sobota – poranek 13 stycznia. Dało się słyszeć odgłosy, zwiastujące nadciągającą burzę. Dla nas z Warki stało się jasne, że na coś się zanoszi. Tak było u nas słyhać, gdy Rosjanie szykowali się do forsowania Wisły³⁵. Około południa grzmoty stały się coraz silniejsze i tak

³⁴ Kolonia Gośniewska – obecnie teren ul. Gośniewskiej w Warce.

³⁵ Władysław Gwardys przywołuje moment uchwycenia przyczółka warecko-magnuszewskiego z przełomu lipca i sierpnia 1944 roku.

to trwało do wieczoru. W sercach narastał strach. Ciocia Helena, osoba bardzo wierząca, rozpoczęła głośną modlitwę, a potem śpiewy religijne. Wszyscy zgodnie uklękli, by prosić Boga o pomoc.

Niedziela – 14 stycznia³⁶. Wyraźnie słyszeliśmy już artyleryjski ostrzał. Wyczuwało się coraz większe napięcie u ludzi, głównie u gospodarzy domu. Ciocia Zosia do nas wysiedlonych rzekła: „Wam to nie będzie, weźmiecie swoje rzeczy i pojedziecie dalej, a my to wszystko stracimy”. Wszakże wylała śmietanę z garnków do maselniczki, celem zrobienia masła. Wyciągnęła bochenki chleba, pokroiła je na kawałki i obficie posmarowała masłem. Każdy dostał swoją kromkę, a kto miał chęć, pił maślanekę. Nawet „Dziadek” nie interweniował.

W międzyczasie przychodzi sasiadka, pani Jasińska, żona kowala. Opowiada, że w Garwolinie³⁷ Rosjanie wprowadzili wspólny kocioł i wszyscy mogą się żywić tylko z tej kuchni. Inni też przychodzą, bo wuj Stefan to bogaty gospodarz i autorytet. Opowiadają, że Rosjanie zabierają chłopom ziemię i przekazują kołchozom. Inni żartują, że u Sowieców wszystko jest wspólne, nawet żony. Znów modlitwa, niespokojna noc, lęk przed tym, co przyniesie poranek. A rano znów słychać odgłosy strzałów, ale jakby trochę cichsze. Koło południa znacznie się uciszyło, tylko grupka żołnierzy niemieckich przemierza pole i nieskładnie kieruje się w stronę Grójca. A potem jeszcze kilka grup, pojedyncze osoby w mundurach, pary, trójki, znów grupka. Tylko czasami szosą przejedzie wojskowy samochód z anteną na dachu, pewnie mają radiostację. Jeden taki pojazd został porzucony. Jeszcze przed południem ktoś się przy nim kręcił. Będzie jeszcze stał tak dwa dni, aż mieszkańcy Skurowa zdecydują, że można wejść do niego i zabrać coś z bogatego wyposażenia. Pobiegłem i ja. Zabrałem piękną szczotkę, nigdy jej nie używałem, ale trzymam ją jako zdobycz wojenną ze sztabu niemieckiego.

Jest poniedziałkowy wieczór – 15 stycznia. Czyżby tak miał wyglądać odwrót niezwyciężonej armii Hitlera? Każda armia potrafi iść do przodu i zwyciężać, nie znosi odwrotu. Od strony Jasińca³⁸ słychać

³⁶ 14 stycznia 1945 roku ruszyła ofensywa z przyczółka warecko-magnuszewskiego

³⁷ Wojska radzieckie zajęły Garwolin wieczorem 27 lipca 1944 roku. W Garwolinie znajduje się cmentarz żołnierzy radzieckich.

³⁸ Jasieniec – wieś gminna pomiędzy Warką a Skurowem.

jakieś zgrzyty, a wkrótce już można oddzielić szum silników. Wszyscy zamarli. Przykręcono lampy, nastała cisza. Tylko ja niepostrzeżony wymknąłem się z mieszkania. Stałem za rogiem domu, wcisnąłem się jak najmocniej do ogaty³⁹, aby nie było mnie widać. Wojskowa kolumna zbliża się do szosy radomskiej. Wtem, pierwszy czołg zatrzymuje się, stuka włącz i widzę sylwetkę człowieka. Trwa to wszystko krótko i słyszę polski głos: „Janek, to gdzie teraz?”. Jest odpowiedź: „Czekaj... Daj w prawo”. I kolumna wojskowa mknie w kierunku Grójca. Wpadam radośnie do mieszkania i głośno wołam: „Polacy jadą na czele!”. Mijają kolejne minuty, słysząc pierwsze strzały, a potem luna rozświetla niebo – to płoną budynki Grójca⁴⁰. Całą noc idzie ta armia w kierunku zachodnim, przekonana, że zwycięstwo jest bliskie. Ale nie jest łatwo skoordynować działania tak wielkich grup wojskowych. Nocą, wzdłuż przesuwających się oddziałów radzieckich, przeleciały własne kukuruźniki, obrzucając je bombami. Szczęściem ładunki były niecelne i padły poza jezdnią, okazując się niewypałami. Trzy doby szła regularna armia, z tym, że drugiego dnia również ze strony Białobrzegów⁴¹. Na skrzyżowaniu dróg ustawiono wyspecjalizowane posterunki, które kierowały ruchem.

A po trzech dniach zaczęły przesuwać się oddziały zaplecza frontowego. Jechali samochodami, wozami konnymi lub szli pieszo. Teraz mieliśmy okazję zapoznać żołnierzy radzieckich. Zaczęli nas odwiedzać.

Nasi mężczyźni postanowili zabezpieczyć swoje konie. Opróżniono komorę, wstawiając do niej żłoby i wprowadzając czwórkę koni. Z chwilą ukazania się żołnierza na dróżce prowadzącej do gospodarstwa, gromada dzieci, aby zgłuszyć stukot koni, biegła z okrzykami

³⁹ Ogata – zewnętrzne ocieplenie drewnianych domów, wykonywane z liści, mchu, słomy czy ziemi. Dom w Skurowie ogacony był słomą i suchymi liśćmi.

⁴⁰ Grójec wyzwolono 15 stycznia 1945 roku. Na pamiątkę tego faktu po wojnie ul. Warszawską przemianowano na 15 Stycznia. Obecna nazwa: Armii Krajowej. W ostatnich latach w Grójcu znów oficjalnie świętuje się rocznicę wyzwolenia. W 2014 r. obchody zorganizowało Stowarzyszenie Tradycji Ludowego Wojska Polskiego im. Gen. Zygmunta Berlinga wspólnie z Burmistrzem Gminy i Miasta Grójec. L. Świder, *Rocznica wyzwolenia*, „Kurier Południowy” 2014, nr 514, s. IV.

⁴¹ Mowa o miasteczku Białobrzegi nad Pilicą, obecnie siedziba powiatu w województwie mazowieckim.

i witała oczekiwanego zwycięzcę. Ów piękny zwyczaj do końca okazał się skuteczny. Gorzej było, gdy żołnierze chcieli nocować. Wtedy stosowano inny wariant powitania. Serwowano bimberek, a na przebudzenie rano też przygotowywano buteleczkę.

Ale były też różne niespodzianki i przygody. Pewnego razu przyszło na nocleg trzech oficerów. Zostali godnie przyjęci kolacją, a następnie ułożeni do snu na pękach prostej słomy. W pewnym momencie jeden z panów oficerów, dotychczas bardzo grzeczny, poderwał się zdenerwowany. On, oficer, ma spać na podłodze?! I zaczął szukać broni. Ale udało się go udobruchać i wszystko skończyło się dobrze. Następnego wieczoru przyjechał powozką na parze koników starszy żołnierz. Po wstawieniu koni pod dach, poczęstowano go kolacją. Dziadunio się rozmarzył. Opowiada, że mieszka koło Smoleńska w miejscowości Kozia Góra. Widział, jak rosyjskie wojsko wiozło polskich oficerów do katyńskiego lasu, słyszał strzały. Jego opowiadanie potwierdziło nasze przypuszczenia, co do autorstwa zbrodni katyńskiej.

Następny dzień przyniósł jeszcze większe emocje. Ruch na jezdni zmniejszał się, ale za sojuszniczą armią wędrowało wielu włóczęgów, którzy wchodzili do domów i stawiali żądania, głównie chodziło o alkohol. Tuż po południu taki podchmielony żołnierz zjawił się w naszym podwórku. Bez przyczyny zaczął strzelać. Wtedy wszyscy zaczęli się przed nim chować. Zaległa cisza, tylko ja z bratem zostaliśmy w pokoju. Byłem przekonany, że nic nam nie grozi. Moja nadzieja wzięła się stąd, że czytałem książkę pod tytułem *Zdzych szuka matki*⁴². Książka opowiadała o przygodach kilkuletniego chłopca. W czasie wojny zaginęła matka i podjął działania w celu odnalezienia jej. W swojej wędrówce dotarł do Rumunii. W Konstancji zakradł się na okręt. Przewodnią myślą książki było to, że w każdej trudnej sytuacji nasz bohater zwracał się do człowieka w mundurze, zawsze otrzymując pomoc. Byłem przekonany, że dzieciom ze strony żołnierza

⁴² Pełny tytuł wydanej w 1935 roku książki: *Zdzych szuka matki. Powieść morską*. Na okładce widnieje nazwisko autora: Jim Poker. Pod tym pseudonimem kryje się Julian Ginsbert (1892–1948), inżynier kolejnictwa, działacz Ligi Morskiej i Kolonialnej, literat i publicysta, autor wielu popularnych w międzywojniu utworów beletrystycznych o tematyce morskiej, adresowanych głównie do młodego czytelnika. Należy do nich także: *Zdzych szuka ojca. Powieść morską dla młodzieży*, Warszawa 1934.

nie może się nic złego stać. Ale gdy młodzieniec wszedł do kuchni i strzelił w podłogę, natychmiast z bratem wtoczyliśmy się pod łóżko, niemalże wciskając się w ścianę. Usłyszawszy szmer, wpadł wściekły do pokoju i zaczął karabinem szturchać pod łóżkami – nie trafił na nas. Tata, słysząc strzał w mieszkaniu, wybiegł ze swej kryjówki i zaczął biec do domu. Naszemu pogromcy trafiła się zdobycz. Zakomenderował: *Ruki w wierch!* Pod karabinem prowadził tatę w kierunku jezdni. Mama, widząc sytuację, pobiegła przez pole na skrzyżowanie i prosiła żołnierza w czerwonym otoku, aby szedł z nią na pomoc. Ten ruszył z mamą, ale widząc swego towarzysza, zrobił w tył zwrot i wrócił na posterunek. W tym czasie pijany żołnierz kazał ojcu stanąć pod olbrzymią topolą. Ciągłe grożąc bronią, wycofał się za rów i zaczął mierzyć do swej ofiary. W pewnym momencie nacisnął język spustowy, ale broń nie wypaliła – nie było już amunicji. Ojciec natychmiast uciekł. Wojak nie dawał za wygraną i postanowił wrócić w gościnę. Tym razem czekali już na niego mężczyźni. Wkrótce trochę otrzeźwiał i poobijany powłókł się za swoją armią. Innym razem taki włóczęga przyjechał konno. Podpity domagał się alkoholu. Tak serdecznie go poczęstowano bimbrem, że nie mógł już wsiąść na konia, więc go wsadzono i skierowano konia w pole. Dotarł do mieszkającego kilkadziesiąt metrów sąsiada. Podobno nie miał już pepeszy.

Pewnego dnia naprzeciwko naszej posesji miał miejsce wypadek samochodowy. Dwa pojazdy wojskowe miały kolizję i obydwa stanęły w ogniu. Na jednym były beczki z benzyną, a ten, jadący od strony Grójca, wiozł cukier. Czarny dym z cukru wił się wiele godzin. W wypadku zgięły dwie kobiety. Matka z córką wybrały się w podróż, chciały wrócić do Warszawy. Jedna z beczek spadła z samochodu i uderzyła je. My, młodzi, przed wieczorem pobieглиśmy oglądać miejsce pożaru. Nad rowem znaleźliśmy trochę spalonych kostek ludzkich. Podobno ofiary, czyli to co z nich pozostało, pochowano na cmentarzu parafialnym w Lewiczynie⁴³.

Kiedyś spotkaliśmy kolumnę wojskową, która szła w innym kierunku. Od strony Grójca kilku radzieckich żołnierzy prowadziło dużą grupę jeńców niemieckich. Jak oni wyglądali. Musieli długo wędrować.

⁴³ Lewiczyn – wieś położona na południe od Skurowa, w gminie Belsk Duży, znana z sanktuarium maryjnego.

Zmęczeni, wlekli się z trudem. Po skręceniu w drogę wiodącą do Warki, żołnierze kazali jeńcom wejść na pole i zarządzili przerwę. Niemcy natychmiast siadali na śniegu, łapali ten śnieg rękami i jedli go. Większość przyjęła postawę kuczną: jedną garścią kładli do ust ten śnieg, a drugą ręką przytrzymywali spodnie. Po kilkunastu minutach zarządzono koniec odpoczynku. Kolumna powędrowała w kierunku Jasiénca.

Młodzież zgromadzona w naszym domu też miała swoje przygody wojenne. Było to w trzecim dniu po wkroczeniu armii wyzwolenczej. Wybraliśmy się na wędrowkę po polu z zadaniem dotarcia do lasu sosnowego, który zaczynał się przy końcu pola wuja Stefana. Pod lasem stała sterta żyta. Zaintrygowało nas, że w tej stercie, przy ziemi, są zrobione dziury. Pomyśleliśmy, że są tam jakieś zwierzęta. Pobiegliśmy do lasu po kije i dalej wsuwać je do nor, oczekując, że za chwilę wybiegną zwierzaki. Ale któryś z nas swoim patykiem wyciągnął szczoteczkę do zębów. Chwytał ją i zaczął uciekać, a my za nim. W domu nic nie mówiliśmy o naszym odkryciu, bojąc się kary.

Po wypadku samochodowym ciocia Helena zdecydowała, że pójdzie do Warszawy. Dostała ciężkie kamasze, trochę za duże dla niej, jakąś kurtkę i trochę żywności. Wróciła trzeciego dnia, późnym wieczorem, śmiertelnie zmęczona. Po jakimś czasie wypła herbatę, zjadła trochę posmarowanego czymś chleba. O zniszczeniu stolicy nie chciała mówić. Powiedziała tylko, że ich mieszkania na ul. Puławskiej pod numerem 39 już nie ma. Zająła mieszkanie na parterze pod numerem 12, pełne niczego nie bojących się szczurów. Zostawiła tam kurtkę, na znak, że to jej mieszkanie, a człowieka, który już był na pierwszym piętrze, prosiła, żeby zwracał uwagę na jej lokal. Cieszyła się, że w Warszawie już żyją ludzie. Decyzja była szybka: idziemy do Warszawy. Ciocia Hela i wujek Marian zabrali swój pusty dzbanek i udali się w drogę, by od nowa organizować życie.

Mój ojciec wraz z bratem pojechali do Warki, aby przygotować jakiś kąt dla swoich rodzin. Zatrzymali się kilka tygodni w willi Lubertów⁴⁴, precyzując zaś, w piwnicy tejże willi, zajmowanej wtedy przez naszych dobrych znajomych – państwo Kozłowskich (Władysław

⁴⁴ Mowa o tzw. domu Lubertów, stojącym jeszcze do niedawna u biegu ulic Puławskiej i ks. Marcelego Ciemnińskiego. Obecnie w tym miejscu stoi obiekt handlowy. Podczas okupacji Niemcy zarekwirowali piętro willi na sztab. Urzędował tu także inspektor pracy, który wysyłał ludzi na przymusowe roboty do Rzeszy.

Tadeusz Kozłowski, ojciec Władysława, był ogrodnikiem u Lubertów). Pani Zofia, matka mojego przyjaciela, dokonywała cudów, aby wyżywić swoją liczną rodzinę, a miska strawy znalazła się także dla dwóch nowych przybyszów. Do świąt wielkanocnych udało się tacie zadaszyc część budynku gospodarczego i urządzić kąpielnię, w którym przyszło nam mieszkać ponad trzy lata. Znaleziona gdzieś w bunkrze zbita z desek, duża skrzynia, obita papą, pełniła funkcję bielizniarki. Natychmiast po świątach wielkanocnych wróciliśmy do Warki. A święta miały swój radosny moment. Podczas rezurekcji w kościele pofranciszkańskim, po latach, odezwał się dzwon. Kto go ufundował, nie wiem do dziś.

Miasto było zburzone⁴⁵, ale wolne.

W tamtych pierwszych latach społeczeństwo cieszyło się z wyzwolenia i ochoczo przystąpiło do odbudowy. A teraz 16 stycznia jest w Warce datą wstydlivą. Nie stać nikogo, aby zorganizować publiczne złożenie kwiatów pod pomnikiem poświęconym Lotnikom Polskim walczącym na wszystkich frontach II wojny światowej lub zapalić znicze na grobach polskich saperów, którzy w 1945 roku złożyli najwyższą daninę krwi, aby rozminować warecką ziemię i przywrócić ją miastu. Czas zastanowić się nad patriotycznym wychowaniem młodzieży i społeczeństwa.

Remigiusz Matyjas

⁴⁵ Obraz zniszczeń miasta przedstawia *Kronika Warki*:

Dzień wyzwolenia zastał Warkę w stanie trudnym do opisania. Zabudowania drewniane prawie wszystkie zupełnie rozebrane lub spalone. Z murowanych zostały ściany i część stropów. Z przeszło 400 domów mieszkalnych pozostało zaledwie 5 nadających się do zamieszkania. Całe przedmieście Ostrówek było umyślnie spalone, w mieście również wiele domów spłonęło lub uległo zburzeniu przez pociski i bomby. Ulice zasłane śmieciem, resztkami domów, drutem, sprzętem wojennym, słomą, gruzami. Okna parterowe zamienione na strzelnice, osypane tynki, kominy sterzące po rozebranych i spalonych domach, wszędzie rowy strzeleckie i zapory przeciwczołgowe, zniszczone jezdnie i chodniki ulic, stosy kamieni, porzucona broń, pociski, niewypały – oto obraz Warki po wyjściu Niemców, których kilku pozostało niepogrzebanych na ulicach. Na ulicach prowadzących do rzeki i wszędzie pod skarpą oraz w lesie za Pilicą pozostały pola minowe i zanim ludzie zorientowali się w ich układzie było dużo nieszczęśliwych wypadków śmiertelnych i ciężkich okaleczeń.